

# Powstań, moje dziecko

Śnieg sypał się z nieba zabarwiony sadzą z wygaszanych w pośpiechu palenisk w domach i opadał na nasze blade z zimna twarze wyrażające najgłębszy strach. Szliśmy zebrani w luźną kupę, każdy obok każdego, prawie gęsiego. Wśród ludzi widziałam sąsiadkę z naszej kamienicy, na rękach leżał jej trzyletni synek. Miał przymrużone oczka jakby spał, oddychał wolno. Kobieta głaskała go delikatnie po twarzy. Trzymałam młodszego brata i matkę za rękę, a ona ojca. Uciekaliśmy w pośpiechu. Nie chcieliśmy opuszczać domu, naszych łóżek, zabawek, książek. Miejsca, w którym się wychowaliśmy i dorastaliśmy. Zostawiliśmy rzeczy, zdjęcia, w których były zawarte nasze wspomnienia. Jednak musieliśmy. Inaczej czekałby nas gorszy los.

Po policzku spłynęła mi drobna łza, którą wytarłam szybko, puszcając rękę brata. Czarnowłosa wyrzucił się o nierówne podłoże pokryte śniegiem i wystające spomiędzy niego gałęzie. Ojciec prędko złapał go za ramię i usadził na swoich. Brązowa kurteczka chłopca była przemoczona od ciągłych upadków. Chude nóżki zwisały bezradnie w dół zaopatrzone wyłącznie w niezbyt grube spodnie i sznurowane, szare buty. Mężczyzna o czarnych włosach owinął się długim, ulubionym szalem, który zabrał ze sobą podczas ewakuacji. Syn uśmiechnął się blado, przymykając zmęczone szaroniebieskie oczy. Ostrożnie ułożył głowę obok niego.

Gdzieś z przodu ponaglił nas niemiecki krzyk. Ludzie przyśpieszyli w milczeniu. Buty grzęzną w śniegu, coraz ciężiej mi iść. Noc była chłodna. Lekkie ubrania, które mieliśmy na sobie, nie chroniły nas przed zimnem. Jakikolwiek światło mogłoby wzbudzić niepożądaną uwagę, więc szliśmy w szarym blasku księżyca skrywanego za kłębiącymi się chmurami. Byliśmy coraz bliżej wyjścia z miasta. Gdy obracam się w tył, widzę tylko ludzi, ich posępne twarze zwieszane w dół. Jestem za niska, by dojrzeć, co kryje się za nimi, lecz parę świateł, które widziałam, gdy wychodziliśmy, już dawno zniknęło pośród konarów drzew. A może jednak już dawno jesteśmy za? Nie wiem. Gdy pytam się taty, on milczy.

Słyszę nagły głośny szelest łamanych gałęzi i krzyki. Odwracam się, rozbudzona tym hałasem. Padają pojedyncze strzały, które przeradzają się w długą salwę w naszym kierunku. Drobne patyki odskakują w przerażonych ludzi.

- *Die Russen! Die Russen!*<sup>1</sup> - krzyczą kobiety w tyle. Jeden z prowadzących nas ludzi powtarza jej słowa. Ludzie zaczynają uciekać w różnych kierunkach i tratować się nawzajem. Strach ogarnia mnie całą, lecz nie popadam w zbędną panikę. Co się dzieje?

Na moją mamę naskakuje mężczyzna. Jego twarz wykrzywia ból, a z lewego boku leci gęsta, czerwona krew. Zauważam ledwie widoczną przez fałdy brudnego materiału głęboką ranę. Kobieta próbuje go zrzucić, lecz on trzyma się mocno.

- *Du hilfst*<sup>2</sup> - mamrocze, ciągnąc ją za ubranie i czarne włosy.

Tata biegnie jej na pomoc. Uderza go łokciem w ranę. Mężczyzna krzyczy i upada. Przebiega po nim inny mężczyzna. Zaczynamy uciekać, wokół nas również biegają ludzie. Krzyczą, zagłuszając ciągle wystrzały. Ci, co nas atakują, też krzyczą, nie rozumiem ich języka. Dziwnego i zawilego, brzmi groźnie. Jedna z kul pada dość blisko, skręcamy niczym stado jeleni. Zapuszczamy się w coraz większą gęstwinę. Nic nie widzę, śnieg zasłania mi widoczność. Mój brat zaczyna płakać, lecz dzięki temu wiem, że jestem blisko nich. Łapie mocniej rękę mamy. Ona prowadzi, mijamy ludzi. Skręcamy w prawo, wypadając z tłumu w mrok.

Chyba ich zgubiliśmy. Zwalniam, stając się ciężarem. Łapczywie łapię haust powietrza i zatrzymuję się. Nogi pieką mnie od wyczerpującego biegu i śniegu, który wpadł do butów. Chcę go wytrzepać, lecz nie mam na to czasu. Jesteśmy tylko my. Wrzaski osłabły, a z nimi ja.

- *Es lauft schneller, Baby*<sup>3</sup> - mówi matka, patrząc w przód i nasłuchując.

Idziemy dalej, prosto, w las. Zgubiliśmy się, ale jesteśmy bezpieczni. Bezpieczni? Nie potrafię przyzwyczać się do takiego odczucia spokoju. Coś draży we mnie ten niepokój. Wokół nas jest tylko ciemność, zostaliśmy sami. Gałęzie delikatnie szeleszczą na wietrze, uderzając o siebie. Zdaje mi się, że słyszę kroki.

Pada strzał. Rozbija konar drzewa. Znowu zaczynamy biec.

- *Imeyutsya tam!*<sup>4</sup> - krzyczy jeden z Rosjan i biegnie ku nam.

Przyspieszam. Adrenalina buzuje w moich żyłach. Staram się omijać gałęzie, lecz wpadam w lodowate kałuże. Mijam kule. Jedna trafia mojego tatę. Syczy z bólu, lecz dalej biegnie, a oni za nami. Przed oczami widzę już, jak nas łapią.

---

<sup>1</sup> Rosjanie! Rosjanie! (de.)

<sup>2</sup> Pomóż (de.)

<sup>3</sup> Biegnij szybciej, kochanie (de.)

<sup>4</sup> Są tam (ru. zapis fonetyczny)

Tak! Między drzewami jest wyrwa! Mama biegnie w przód. Skaczymy. Chłodny wiatr rozwiera mi włosy i szczypie w policzki. Zamykam oczy. Czuję, jak moje ciało spotyka się z miękkim śniegiem. Podnoszę się natychmiast. Chcę biec dalej. Ojciec łapie mnie za rękę. Kręci głową. Widzę, że nie może już dalej biec. Ciężko sapie, a gorący oddech zamienia się w białe obłoki pary. Leżymy w śniegu, czekając.

Jeden z Sowietów, ciemnowłosy z okazałym wąsem, w długim ziemistym płaszczu wskazuje w naszą stronę. Kulę się w zimnym śniegu. Ich ciężkie, wysokie czarne buty zbliżają się coraz bardziej. Widzę i słyszę, jak odciskają swoje ślady w białym puchu. Idą powoli, stawiając ostrożnie kroki. Moje serce bije szybciej, gdy jeden z nich stawia stopę tuż koło mojej głowy. Oczami wyobraźni widzę, jak celuje do mnie z długiej lufy i pociąga za spust z wrednym uśmiechem satysfakcji.

Jednak on nas mija. Tak samo kolejni. Wykręcam głowę w bok, by śledzić ich ruchy. Idą dalej, aż do końca polany.

Tata podnosi głowę. Rozgląda się. Odeszli daleko, jednak on wciąż się nie rusza.

- *Können wir gehen?*<sup>5</sup> - pytam, a w moim głosie słychać radość.

- *Nein.*

Trwamy tak jeszcze przez dłuższy czas. Jakby w transie, odliczając minuty do zagłady. Zamykam oczy, zmęczona tym wszystkim. Śnieg stanowi dla mnie przyjemną poduszkę. Mam ochotę się nią przykryć. Przewracam się na bok i łapię kłęby śniegu w objęcia jak miś. Przytulam je do siebie. Jest mi błogo, czuję ten spokój, którego mi tak bardzo brakowało.

*Wracam do naszego mieszkania w kamienicy przy ulicy Zimmerstrasse w Oppeln. Jest grudzień 1942. Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Mój braciszek leży w ciepłym łóżku, obok niego siedzi mama i szydełkuje kolejny zimowy sweterek z niebieskiej włóczki, która ciągnie się aż z koszyka leżącego daleko przy szafce. Na dywanie leżą rozrzucone drewniane zabawki i szmaciane lalki.*

*Drzwi otwierają się chwilę później, a w nich stoi tata. Widzę jego długie, czarne płaszcze przez szparę w drzwiach do niewielkiego korytarza. Na głowie ma puchatą czapkę, wokół szyi – ulubiony czerwony szal. Zdejmuje zniszczone buty i stawia je na wycieraczkę, by wyschły. W ręce trzyma płócienną torbę. Woła mnie radosnym głosem, a ja przybiegam szybko i obejmuję go.*

*Sięga za plecy i wyciąga z siatki niewielki, okrągły przedmiot. Po chwili dostrzegam, że to pomarańcza. Ściskam tatę i biorę owoc. Z entuzjastycznym uśmiechem biegnę do*

---

<sup>5</sup> Możemy już iść? (de.)

*mamy. Mój brat właśnie się obudził. Podchodzę do jego łóżeczka i pokazuję mu prezent. Cieszy się tak samo jak ja. Mama przynosi talerzyk, a tata siada obok nas.*

Nagle mój brat kicha. Ten dźwięk jest dla mnie jak wybuch bomby, natychmiast stawia mnie na nogi. Serce mi drży i wali o żebra.

- *Mir ist kalt... Sehr kalt*<sup>6</sup> - mówi zmarznięty chłopiec. - *Können wir gehen?*

Ojciec wstaje. Za nim matka i ja. Jesteśmy na pustej polanie. W oddali zauważam tylko niewielki budynek. Przypomina on dworek. Jego ściany są popękane, a drzwi nadniszczone. Okna o drewnianych ramach są w całości, a nawet wiszą w nich firanki. Ku górze wznosi się komin, a na pole wychodzi weranda o szarych kolumnach. Dom wygląda zachęcająco. Ciągnę ojca za ramię i wskazuję odmrożonymi palcami na budynek. Ojciec kiwa niechętnie głową, kierujemy się w tamtą stronę.

Tata uchyla ciężkie drzwi, które chrzęszczą, blokując się. Wchodzimy do środka, mijając przedmioty leżące na ziemi, jest ich mnóstwo. Wszystko jest porzucane, jakby ktoś opuszczał ten dom w wielkim pośpiechu. W pośpiechu...

- *Es lauft schneller, Baby!* – krzyczy mama. *Ledwo słyszę ją przez wycie syren.*

*Ludzie wybiegają z mieszkań. Mama ciągnie mnie za rękę. Nie chcę uciekać, nie chcę zostawiać moich rzeczy.*

*Przed oczami powiewa mi czerwony szal mojego taty. Zbiegam po schodach, by znaleźć się przed budynkiem. Czeka tam już wielu mieszkańców naszej kamienicy. Rozglądam się, po drugiej stronie stoją grupy ludzi. Podchodzi do nich mężczyzna w mundurze i coś mówi. Ruszają ulicą. Po chwili idziemy za nimi aż do granicy miasta.*

Mama klepie mnie po ramieniu i spogląda na mnie z lekkim uśmiechem. Tata szuka zapalek w szafkach kuchennych. Pomagam mu i zaczynam przeszukiwać szuflady drewnianego kompletu. Znajduję całą zastawę białych talerzy i srebrnych sztućców, są takie piękne, lecz na nic nam się nie przydadzą. Obok stoi również lodówka. Nie otwieram jej nawet, idę dalej. W ciemności przyjeżdżam ręką po kamiennym blacie, pokrywa go gruba warstwa kurzu, którą strzepuję.

- *Ich glaube nicht*<sup>7</sup> - mówię zrezygnowana.

Mężczyzna podchodzi do stołu i jednym ruchem ściąga obrus, w powietrzu unoszą się wały pyłu. Brat znowu kicha. Tata zagląda pod stół i otwiera ukrytą w nim szufladę. Z satysfakcją wyciąga paczkę zapalek. Podchodzę bliżej. Jest ich tylko kilka, ale jeśli nie namo-

---

<sup>6</sup> Zimno mi... Bardzo zimno (de.)

<sup>7</sup> Nie mam nic (de.)

kły, to wystarczy ich na kilka dni. Mama zbiera kartki, obrus i drobne, drewniane rzeczy. Wszystko wrzuca do kamiennego kominka. Biorę jedno z drewnianych krzesel i siadam blisko niego. Tata odpala zapalniczkę i podpala papier. Czuję, jak ogień ogrzewa moje policzki. Mama owija brata w jakiś koc. Mimo dziur jest z pewnością ciepły. Znowu czuję przyjemny spokój, który pozwala mi się odprężyć i zasnąć. Jesteśmy wreszcie bezpieczni. Na jak długo?

\*\*\*

Budzi mnie gwar i światło wpadające przez okna. Przecieram zmęczone oczy i wyciągam obolałe ciało. Stare, twarde krzesło okazało się nie najlepszym tymczasowym łóżkiem. Wnętrze wydaje się inne niż wczoraj. Być może to przez jasne światło. Rozglądam się. Jestem pierwsza, więc budzę tatę. Przeciąga się i jakby rażony strachem podrywa się z podłogi, o mało nie przewracając mnie. Wybiega przez drzwi z białego marmuru na uliczkę, biegnę za nim.

Rażą nas promienie słońca, chociaż gdy patrzę w górę, widzę jedynie ciemne niebo, gwiazdy układające się w konstelacje i galaktykę. Wokół nas chodzą ludzie w dziwnych strojach, kamienne budynki pną się ku kosmosowi, ich czubki przysłaniają chmury. Pomiędzy nimi rozciągają się wąskie mosty, łącząc je i rzucające cień na brukowane uliczki. Gmachy są bogato zdobione, mają wąskie i szpiczaste okna, prawie każde większe posiada balkon lub podest łączący z mostem. Spadziste dachy zakończone rynnami odprowadzającymi wodę rurami wzdłuż mostów są z niebieskiego metalu, który przyjemnie połyskuje w słońcu. Wzdłuż głównej uliczki otoczonej dwoma chodnikami i pasem zieleni, przy zabudowaniach wiszą różne szyldy i flagi. Zadzieram głowę do góry. Na metalowych szynach, ponad powietrznymi ścieżkami, płynie zawieszona na linie gondola o białych żaglach. Patrzę na to z niedowierzaniem. Obracam się i znowu spoglądam na zwykły dworek. Nie jest on tak bogato zdobiony, jak reszta miasta, przestrzeń nad nim jest pusta, a ostrosłupowy dach z ostrym czubkiem nie pnie się na wyżyny. Na każdym z końców jest wieża i przypominające muszle zdobienia. Od strony wejścia znajduje się okrągły witraż zajmujący prawie całą ścianę pokrywy z niebieskiego metalu. W jego środku zielony paw, otoczony kolorowymi kamieniami. Nie mogę oderwać wzroku od tych budowli i miasta.

Ludzie nie zwracają na nas uwagi. Wychodzę na uliczkę, tata idzie za mną. Kręcimy co chwilę głowami, nie mogąc się napatrzeć na to miasto. Przed twarzą przelatuje mi skrzydlate stworzenie. Przypomina białą mysz ze skrzydłami gołębia. Za nim biegnie dziewczynka w błękitnej haftowanej sukieneczce, próbując go złapać za czarny, puchaty ogonek. Pod jednym z kamiennych budynków o drzwiach jak z westernu i zawieszonym nad nimi drewnianym szyldem „B-bar” stoi trzech mężczyzn w mundurach. Dwóch z nich trzyma w ręku kufle z

jakimś napojem. Rozmawiają. Przyglądam im się dokładnie. Ciemnobrązowy skórzany płaszcz mają przepasany pasem, przy którym oprócz krótkiego pistoletu ze szklaną kulą znajdują się fiołki i kilka medali. Pod nim zaś kamizelki z białymi lub beżowymi koszulami i czarne, bufiaste spodnie z pasami i złotymi sprzączkami. Jeden z nich, o jasnych, krótko przystrzyżonych włosach, wyciąga zegarek zza fałdy prochowca. Żegna się z towarzyszami i odchodzi, gdy nagle spostrzeżę nas. Idzie w naszym kierunku.

Ciągnę tatę za rękaw. Stoi, jakby nogi wrosły mu w ziemię. Popycham go, lecz to na nic. Jasnowłosa staje przed nami. Uśmiecha się, a ja chowam się za ojcem.

- Dzień dobry – mówi po polsku. Tak dawno nie słyszałam tego języka. Jego głos jest miły dla ucha, brzmi łagodnie i przyjemnie. Zupełnie jakby ktoś karmił nas trzema wartościami „dobro, piękno i prawda”. Mogłabym mu zaufać. Spoglądam na tatę – chyba podziela moje zamysły, bo uśmiecha się do niego, a mocno zaciśnięte dłonie rozluźniają się. – Witajcie w Wiecznym Mieście, Powstańcy.

Z dworku wychodzi mama i brat. Podchodzą do nas ostrożnie i również zamierają, patrząc na otoczenie. Kobieta szepcze coś na ucho tacie, przytakuje. Chłopczyk przygląda się mężczyźnie w mundurze. W końcu podchodzi do niego i ciągnąc go za płaszcz, pyta kalem niemieckim:

- *Wo sind wir?*<sup>8</sup> - Mężczyzna w mundurze wzdryga się, słysząc ten język. Odsuwa się od mojego brata ze wstrętem.

- *Sie s-sind... Deutschen?*<sup>9</sup> – niezgrabnie odpowiada nam z sykiem coś w tym samym języku. Odruchowo sięga do pasa. – Opuśćcie nasze Miasto!

- Jesteśmy Polakami! – krzyczy mama, gdy jasnowłosa wyciąga pistolet. Mierzy w nas przez chwilę wzrokiem pełnym uwagi i przeladowanym pistoletem. Szklana kula tuż przy lufie iskrzy się na niebiesko.

- Udowodnij – syczy pełen jadu.

- Jak...? – jęczę. Wylot rozbłyska światłem. Zamykam oczy, rodzice obejmują mnie.

Słyszę zgrzyt metalu. Nic się nie dzieje. Przed nami stoi mężczyzna o białych jak śnieg włosach. Szary ogon jaskółczego fraka powiewa na wietrze. Jego długa, srebrna szablina ściera się o pistolet i kieruje go w górę. Śledzę jego wylot i natrafiam na rozbitą witraż. Białowłosa robi krok do przodu i przyciska broń do szyi mundurowego. Po ostrzu leci kilka szkarłatnych kropli.

---

<sup>8</sup> Gdzie jesteśmy? (de.)

<sup>9</sup> Jesteście... Niemcami?

- Król nie będzie z ciebie dumny, Beczko – warczy. – Nie tak traktujemy przybyszy z Drugiej Strony.

Mężczyzna odchodzi ze złości, wymachując rękami. Obrońca odwraca się do nas. Żółtymi oczami przeszywa nas na wylot, na bladą twarz bez wyrazu opadają mu włosy z równo ściętej grzywki, resztę ma zaplątaną w warkocz. Szary płaszcz z czarną lamówką i złotymi guzikami sprawia, że wygląda jak duch. Jest szybki, podchodzi do nas w mgnieniu oka i wymija, wchodząc do dworku.

- Idziecie czy czekacie na specjalne zaproszenie? – śmieje się.

\*\*\*

Idziemy białym korytarzem z marmuru. Wszystko błyszczy i ocieka złotem jednak nie wygląda tak pięknie jak miasto. Ściany są puste i śnieżnobiałe, a jedyną ich ozdobą są złoczone filary. Czuję się tu źle. Nie ma żywej duszy, idziemy tylko my. Prowadzi nas Gwardzista Króla. Tak się przedstawił, nie wiemy, jak się nazywa. Od dwóch tygodni sprawuje tu władzę jako Zarządca. Sądząc po tym, jak wyniośle o tym mówił, musi być to ważna funkcja.

Stajemy przed wielkimi drzwiami o metalowych zapadkach. Białowłosa podchodzi do nich i przesuwają po kolei każdą. Maszyneria obraca się z charakterystycznym kliknięciem. Wrota otwierają się. Ze środka zieje zimno i nieprzenikniona ciemność. Zaprasza nas gestem ręki, niechętnie wchodzimy.

Gwardzista zamyka za nami drzwi. Wbrew przekonaniom wewnątrz jest jasne. Przez witraż w suficie wpada światło barwione kolorowanymi kryształami i oświetla podwyższenie, na którym znajduje się... tron. Wielki, o złotych nogach i oparciach, przez które przewieszona jest długa czerwona peleryna. W nim siedzi mężczyzna. Jego twarz przyozdabiają zmarszczki, a długie włosy do brody przyprószone są siwizną. Staruszek ma zamknięte oczy, przez co wygląda jakby spał. Żółtooki podchodzi do podestu i kłania się. Wtedy dopiero zauważam, że mężczyzna podpięty jest do jakiejś aparatury. Rury ciągną się od jego głowy i klatki piersiowej, aż w ciemność. Przez przeźroczyste ścianki widać przepływający przez nie niebieski i czerwony płyn.

- Królu... - mówi ze zwieszoną głową. – Przyprowadziłem tu Powstańców. Osądź, co z nimi zrobić.

Mężczyzna uchyla spierzchnięte wargi, a Gwardzista podbiega do niego szybko. Nadstawia ucho, odgarniając włosy, i słucha, jednocześnie jednym okiem spoglądając to na niego, to na nas. Czekamy w miarę cierpliwie. Co jakiś czas przytakuje, aż w końcu szepcze mu coś na ucho i obraca się w naszą stronę z kamienną miną.

- Możecie zostać tu na tak długo, jak zechcecie. – Uśmiecha się tajemniczo. Król wskazuje na nas dłonią podpiętą do aparatury mnóstwem kabelków. – No tak. Ty – podchodzi do mojego brata i klęka przed nim z lekką niechęcią – zostaniesz na chwilę, dobrze?

Tata patrzy na chłopczyka poważnym wzrokiem, który przenosi następnie na białowłosego. Trwamy w napięciu, on kuli się przy jego nodze, nie chce iść. Widać to od razu, jest jeszcze mały. W końcu ciemnowłosy klęka przy nim, szepcze, by się nie bał i głaszcze go po główce. On w końcu zostaje, a my wychodzimy na zewnątrz. Dzieli nas zimna stal wrót. Przykładam ucho do niej, próbując wychwycić jakieś głosy. Nic nie słyszę, więc odchodzę i siadam przy ścianie obok rodziców. Ten świat jest dziwny, wszystko jest takie inne. Może i ludzie też są tacy? Zamykam oczy i myślę o tym mieście, o Królu, tak długo, aż wrota znowu się uchylają. Na twarzy chłopca i Gwardzisty malują się szerokie uśmiechy. Mama podbiega do syna i pyta po cichu o różne rzeczy. On tylko kręci głową.

- Chodźcie – mówi białowłosy. – W jednej z kamienic mamy wolne mieszkanie dla was.

\*\*\*

Nazajutrz rano budzi nas wybuch kilka pięter niżej. Zrywam się szybko. Spałam w butach, więc wkładam tylko płaszcz i biorę torbę z jedzeniem, które wczoraj wypakowałam z lodówki i spiżarki. Jakie było nasze zdziwienie, gdy zobaczyliśmy kompletnie urządzone dom wraz z pełnym wyżywieniem i przeróżnymi wygodami tutejszej cywilizacji. Rodzice stoją już przy drzwiach z zaspanym bratem na rękach. Otwierają je i wybiegamy w chmurę dymu. Zakrywam usta i nos bluzką, reszta robi to samo. Zbiegamy w dół po drewnianych schodach. Mam ochotę zapukać do ludzi, którzy zostali, lecz nie mam czasu. Teraz mogę dbać tylko o siebie i rodzinę. Przeskakuję przez barierkę, by zmniejszyć dystans dzielący nas od wyjścia.

Na drodze staje nam stwór z ciemności, kurzu i mgły o zielonych ślepiach. Mijam go szybko, lecz łapie mnie za rękaw brązowego płaszcza. Szarpię się chwilę, aż dochodzę do wniosku, że nie ma to sensu. Unosi mnie ku górze tak, że mogę spojrzeć w jego wielkie oczy.

- Jesteście tu nowi? – pyta chrapliwym, zniekształconym głosem. Niepewnie kiwam głową. – Wybaczcie za te wybuchy, mieszkańcy są do nich już przyzwyczajeni, więc mogę w spokoju prowadzić swoje badania.

Puszcza mnie na ziemię. Dym opada, odsłaniając jego wielką sylwetkę przykrytą jeszcze większym i grubszym skórzanym skafandrem. Po bokach ma różne narzędzia i fiolki z kolorowymi substancjami. Niektóre są zielone lub niebieskie, a kilka, tych bezbarwnych, jest opatrzonych etykietą  $C_4H_8Cl_2S$ . Ściąga dużą maskę przeciwgazową o zielonych, okrą-



głych szklach, dużych filtrach po bokach połączonych przewodami z plecakiem, i z pasami zakrywającymi resztę twarzy. Odpina je powoli i niezgrabnie dużymi rękawicami. Stoimy, parząc na jego zmagania z urządzeniem. Twarz ma pogodną opatrzoną w szare bokobrody i potężnym wąsem. Nikt nie drgnie, nikt się nie ruszy.

- Och, nie przedstawiłem się jeszcze. Mieszko Kutzner, alchemik w służbie Króla. – Odstania kawałek swojego mieszkania wciąż spowitego dymem. – Może wejdziecie?

- Może innym razem – wykręca się mama z lekkim uśmiechem.

- Ależ nalegam, droga pani - Kutzner kręci głową z udawanym oburzeniem. – Muszę wam to jakoś wynagrodzić.

Pchając mamę w przód, wchodzimy do niewielkiego salonu pełnego dyszących jak smoki probówek, szklanych naczyń i eliksirów. Szyby wyglądające na promienny świat są przysłonięte parą i dużymi, żelaznymi kotarami. Mężczyzna zgarnia szybko z niskiego stołu palnik i szkiełko z żółtymi kryształami. Obok stoi kanapa przykryta zakurzoną kocem.

- Do czyściochów nie należę, ale to z pewnością przez to, że nie miewam wielu gości – spochmurniał. - Moja żona... - załkał. – Ona... została po drugiej stronie! Tam, za Wiecznym Miastem!

Spojrzawszy na nasze speszzone miny, otarł zapłakane oczy trzymanym w dłoni kocem i ruszył do kuchni. Zanim przyniósł czekoladowe ciastka dziwnie opalizujące w świetle lampy i herbatę, zdążyłam obejrzeć kilka probówek. Brat też z chęcią je ogląda. Fascynują go szczególnie te bulgoczące o czerwonym lub zielonym zabarwieniu. Co chwila pyta mnie albo rodziców, co by było, gdyby zmieszać je ze sobą. Mama kręci głową i dalej rozmawia z tatą i Kutznerem.

- Co to za płyn? – pytam, podnosząc probówkę z bezbarwną cieczą. Przechylam ją delikatnie, jest bardzo gęsta. Mężczyzna zrywa się natychmiast.

- Ostrożnie! – ostrzega i wrywa mi substancję. – To bardzo trujący gaz musztardowy.

Gaz? Ale to wygląda jak woda... Nie zadaję już zbędnych pytań i siadam w wygodnym fotelu.

- Panie Kutzner... - zaczyna nieśmiało tata. – Jak pan wie, jesteśmy tu od niedawna, więc chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o tym miejscu.

Odstawiwszy filiżankę na stolik, poprawił się na fotelu i zatarł złowieszczo wąsa. Widać było, że chce opowiedzieć nam o Mieście i zrobi to, chociażby go końmi odciągano.

- Zapewne poznał pan Króla – nie czekając na naszą odpowiedź, mówi dalej. – To on stworzył to Miasto i sprowadził tu ludzi. Ci bardziej niedowierzający mówią, że to diabeł w ludzkiej skórze, ale to guzik prawda! Ten człowiek ma już swoje lata, specjalnie dla niego z paroma Złomiarzami zrobiliśmy aparaturę, bo zaczął słabnąć. Kilka tygodni temu Anzelm Grous objął rządy za niego. Mam wrażenie, że Wieczne Miasto zaczyna podupadać. Podobno ze dwa dni temu Krąg wciągnął kilka domów i kawałek lasku. Co się driady nie nakrzyczyały! – Klaszcze rozbawiony w kolano. – Jak chcesz pan wiedzieć więcej, to do nich albo do B-baru się wybierz.

- Przepraszam gdzie? – prosi o powtórzenie. Brzmiało to nieco jak jąkanie.

- B-bar – powtórzył, lecz dalej tak samo.

- Coś się stało panu w język? Nie rozumiem...

- Tak się nazywa to miejsce. Zresztą, pokażę je wam. Jeszcze mi się zgubicie i co wtedy będzie?

Wzruszam ramionami i śmieję się. Kutzner prowadzi nas do kolejnego pokoju z wielkim łóżem pośrodku. Jest on prawie pusty, nie licząc posłania i jednej szafeczki na ścianie po lewej. Całą ścianę po prawej zajmuje okno z balkonem. Mężczyzna otwiera je i wychodzimy przez balkon na mostek łączący nas z innym budynkiem. Patrząc w dół, ludzie wyglądają jak kłębiące się mrówki, między którymi poruszają się powozy napędzane mechanicznymi kołami o stalowych grzywach. Jeźdźcy smagają je elektrycznymi batami, a one przyspieszają. Zgrabnie mijają ludzi zgromadzonych przy piekarni. Kutzner idzie przed nami. Mam wrażenie, że most się chybcze, a mroczki tańczą mi przed oczami. Jeden pada dosyć blisko i wyraźnie. Upadam w tył, pchnięta ciemną siłą. Mroczek odwraca się w naszą stronę i spogląda przez chwilę zza czarnego kaptura. Równie czarne skrzydła trzepoczą na wietrze, gdy rusza w dalszy bieg za podobnymi sobie. Podziwiam, jak gładko biegną po czerwonych dachach, nie zatrzymując się, nie patrząc w tył na ludzi, którzy przyglądają im się z zachwytem i uśmiechem. Dzieci krzyczą szczęśliwe i pokazują na nich paluszkami.

- Kto... Co to? – Nie odrywam od nich wzroku. Czekam, aż znikną za niebieską kopułą dworku.

- To Łowcy – mówi z wyraźną dumą i spogląda ku nim. – Są naszą drugą linią obrony, trochę jak ta... policja. Zajmują się Nadprzyrodzonymi.

Chcę spytać, kim są ci „Nadprzyrodzeni”, lecz rodzice milczą i patrzą na mnie wymownie — nie. W końcu, jakby odczytując moje myśli, odpowiada.

- Wiecie, jak wyglądają psy, prawda? – Ja i brat przytakujemy. – To weźcie sobie takiego kundelka i powiększcie go kilka razy, tak ze dwa, a później dodajcie mu jeszcze dwie głowy i wyjdzie wam Cerber, Stróż Kręgu. Nadprzyrodzeni to tak jakby ulepszenie ze świata poza Miastem. Wiecie, wszystko tutaj jest lepsze. Nawet życie.

Przyjemny wiatr, niosący ze sobą zapach świeżego chleba, rozwiewa nasze już i tak zmierzwiłone włosy. Na granatowym niebie przyozdobionym gwiazdami nie gości żadna chmurka. Lepsze życie? Czy to możliwe, gdy po drugiej stronie toczy się wojna?

Schodzimy z mostu do pięknego, bogato zdobionego mieszkania. W środku przy toalecie siedzi kobieta. Gdy nas widzi, odwraca się gwałtownie i krzyczy. Kutzner podbiega do niej szybko i zdejmując kapelusz, kłania się przepaszająco. Blondynka nie wygląda na urażoną, wręcz przeciwnie. Zalotnie trzepocze rękami w jego kierunku. Mężczyzna, chociaż już mniej urodziwie, mruga do niej porozumiewawczo. Tata ciągnie go do drzwi. Siwowłosa odwraca się jeszcze w ostatniej chwili i rzuca jej całusa. Wsiadamy do windy znajdującej się na holu.

- Znajoma? – pyta tata.

- Teraz już tak – odpowiada poczerwieniały i wciska złoty guzik z wygrawerowaną nazwą „B-bar”.

Winda powoli sunie w dół. Kołysze się delikatnie w rytm muzyczki lecącej z głośników, aż w końcu z charakterystycznym *dzyń* otwiera się na ciemny korytarz. Stąpamy po czerwonym dywanie w rzadkim świetle latarni pomiędzy czarnymi rzędami drzwi. Z daleka słychać wesołą muzykę i rozśpiewane okrzyki. Kierujemy się ku schodom, gdzie mijają nas barmanka z tacą. Kutzner odprowadza ją wzrokiem i powraca do nas. Przewracam oczami.

Salę wypełnia gwar. Ludzie bawią się, piją i tańczą. Kelnerki krążą między stolikami z beczek i desek. Na jasno oświetlonej scenie, pomiędzy dużymi głośnikami, siedzi chłopak niewiele starszy ode mnie, w rękach trzyma instrument przypominający akordeon. Po srebrno-czarnych klawiszach sprawnie porusza palcami prawej dłoni, lewą zaś, zrobioną z metalu, naciska basy. Pompujące co chwila powietrze pozwala wydostać się muzyce na zewnątrz. Brązowe pukle opadają mu na twarz, zasłaniając błękitne oczy. Uśmiecha się do dziewczyny obok. Trzyma ona okrojoną gitarę, łączoną rurami i trybikami. Druciane struny zadrżały wraz z, operowanymi przez rudowłosego chłopaka, skrzypcami z doczepioną trąbką, która dodawała niesamowitego dźwięku jego muzyce. Teraz dopiero zauważam, że całe trio ma po jednej metalowej kończynie. Dziewczyna tupocze metalową protezę wystającą zza czerwonej, powłóczystej spódnicy, a obaj chłopcy – ręki.

- Będę się już z wami żegnał – mówi wesoło Kutzner, poprawiając kubrak. Rozgląda się po okolicy i przybliża do taty. – Tutejsi mundurowi nie przepadają za mną – szepcze mu na ucho, wskazując stolik zajmowany przez znajomego nam blondyna i jego przyjaciół.

- O ironio, za nami chyba też – odszeptuje ze śmiechem. Żegnają się serdecznym uściskiem dłoni.

Podchodzimy do długiej lady ustawionej w cieniu jeszcze dłuższych szafek i siadamy na wolnych stołkach pomiędzy dwoma osiłkami. Tata nieśmiało puka w kamienny blat, a w jego rękę wpada wielki kufel po brzegi wypełniony płynnym miodem.

- To chyba moje – burczy osilek nad jego głową i zabiera to, co prawdopodobnie jego.

Siedzimy tak chwilę. Tata zaczyna się niecierpliwić. Poprawia swój szal, gotowy zakasać rękawy i pójść tam.

- Czy mógłby mnie ktoś obsłużyć? – drze się w końcu.

- Panie! – odpowiada jeden z olbrzymów obok. – Przecież siedzi przed tobą. Mów co chcesz, a nie nadwyrężasz se gardło.

Ciemnowłosa jeszcze raz rozgląda się, wytrzeszczając oczy. Zagląda za ladę i prawie spada z wysokiego krzeselka. Wyłania się zza niej mężczyzna tak pokraczny, że aż przerażająco śmieszny. Jednym kaprawym okiem łypie na nas, a drugim zezowatym na klientów obok. Przerzedzone siwe włosy opadają mu aż do brody, kamizelka zwisa na nim jak na wieszaku. Wyciąga szpakowaty palec w stronę taty. Granie cichnie, a zespół zmienia się z innym. Muzyka staje się wolniejsza, większość ludzi siada przy stolikach, na środek wychodzą jednak pary.

- N-n-nie n-ner-rwuj s-si-ię t-tak p-p-p-panie! – Prztyka go w nos, a ten wzdryga się. – C-coś ch-chcia-ał, pa-paa...

- Nie kończ – przerywa mu nagle i stanowczo. Staruszek jąka się niemiłosiernie, a przy każdym powtórzeniu skacze mu powieka lewego oka. – Chciałbym wiedzieć coś o tym Mieście.

- A-a-a-a c-co d-d-d-d... - rozchodzą się wokół dziwne dźwięki na dobre.

- Może ja pogadam z nim, co, Flitz? – mówi nagle miły, chłopięcy głos. Odwracamy się jak jeden mąż w jego stronę. Brązowo włosy grajek uśmiecha się do nas pogodnie. Flitz przytakuje, aż słyhać chrzęst kości, i znika w głębi. Chłopak siada na drewnianym blacie pomiędzy mną i tatą. Jego nogi obute w twarde podkute kozaki i krótkie moro bojówki zwisa-

ją, machając wesoło w przód i tył. – Jestem Tom, syn Dudziarza. Jeżeli chcecie ja i moi przyjaciele pokażemy wam Miasto.

- Będzie nam niezmiernie miło, dziękujemy – odpowiadam, by nie narażać nerwów taty na kolejny wysiłek.

Chłopak gwizdem przywołuje resztę swojego grającego zespołu, która ciesząca się popularnością wśród ludzi, pozowała do zdjęć robionych dużymi, niezgrabnymi aparatami i wywiadów z pojedynczymi osobami i przedstawicielami gazet. Cała trójka w ekspresowym tempie staje przed nami w równym rzędzie - od najmniejszej dziewczyny do najwyższego chłopaka.

- Gotowi? - zapytał najwyższy z nich, rudowłosy. Na uśmiechniętej twarzy oprócz wielkiego rumieńca malują się miliony piegów. Drży pęk kluczy przyczepiony do pasa i otwierają się potężne drzwi na zapleczu. – Pójdziemy skrótem, na ulicy za dużo ludzi się na nas gapi. Wiesz, sława – przeczesuje swoje przydługie włosy i puszcza oczko do dziewczyny obok, która wydaje się nie łąpać żartu. – No weź, Gloria, nie bądź taka sztywna.

Blondynka pozostaje niewzruszona. Chwyta jedną z pochodni i wybija się na przód, prowadząc nas. Rudowłosy cały czas brzęczy coś pod nosem, echo jego skrzekliwego głosu roznosi się daleko wzdłuż korytarza. Po oślizgłych ścianach spływa woda. Próbuję się nie potknąć na omszonych schodkach. Już wiem, że na tym miejscu kończy się Świat Doskonały i zaczyna się Otchłań Bez Dna.

Naszym oczom ukazuje się wydrążony w skale tunel. Z wysokiego sufitu, na stalaktytach, zwisają żarówki o ostrym, białym świetle i oświetlają wielką grootę. Na dole, między kanałami wodnymi i stalagmitami różnej wielkości, poruszają się ludzie i stworzenia przypominające owady. Ich długie, sztywne odnóża sprawnie suną po nierównym podłożu, twarde pancerze nie uginają się pod ciężarem dużych maszyn parowych. Ludzie w szarych kombinezonach przenoszą części z jednego miejsca na drugie przy końcu tunelu, gdzieś w głębi. Milczą, nie zwracają sobie głowy niepotrzebnymi sprawami. Wykonują pracę, którą im powierzono. Przypominają jeden organizm.

Tom prowadzi nas w głąb tego dziwnego organizmu. Ludzie, głównie mężczyźni, nie zwracają na nas uwagi. Podłoże jest śliskie jak tamte schody. Stąpam ostrożnie, a oni biegną. Ich wielkie buty opatrzone są w kolce, które zostawiają niewielkie ślady w kamiennej ziemi. Pełzniemy w ciszy ku jasności i ciepłu. Zasłaniam oczy nieprzyzwyczajone do tego ostrego światła.

Gdy je odsłaniam, jesteśmy już w hangarze. Tom i reszta uśmiechają się, my natomiast w niedowierzaniu obserwujemy wielki sterowiec na tle mapy Europy. Zaczęty metalowy

szkielet powoli pokrywany jest płóciennym okryciem. Mechanizm w jego środku wydaje się nieskończony. Wiele rur, metalowych elementów i trybów leży na ziemi lub jest trzymana przez pracujących mężczyzn. W ruch ruszają spawarki, iskry lecą na boki. Na parowych żurkach przywożą kolejne części. Wielkie skrzydło delikatnie opada na ziemię. Obok niego stoi kilka mniejszych pojazdów i maszyn. Niektóre przypominają pająki, metalowe odnóża utrzymują dwie złączone ze sobą kabiny, z jednej z nich wyrasta długa lufa czołgu.

Gloria odwraca się do nas, promienieje radością. Jej oddech jest głęboki, a ciało wzdryga się w spazmach szczęścia. Mam wrażenie, że zaczniesz zaraz skakać i krzyczeć. Chłopcy również wydają się tak samo przejęci.

- Już za niedługo, Tomie, świat poczuje, czym jest zemsta Upadłych! – mówi hardo i zaciska pięść. Patrzy ku górze, a jej oczy zachodzą łzami.

Nagle pada, postrzelona. Krew rozlewa się pod naszymi stopami. Kawałki kości i drobinki mózgu brudzą nasze twarze. Nieruchomiejemy z przerażenia. Ciało Glorii również zamiera.

Kolejne strzały wycelowane są w Toma. Unika ich cudem, skacząc w bok. Strzelec jest blisko. Chowamy się, rudowłosa krzyczy i strzela w nas. Raz, drugi. Próbuje zabić swojego towarzysza. Po chwili kolejni mężczyźni również wyciągają broń i zaczynają strzelać. W jednej chwili hala pustoszeje. Ludzie rozbiegają się na boki, dzieląc się na dwa obozy. Niektórzy giną, zanim zdążą podjąć się walki. Podłoże wypełniają świeże trupy, a powietrze – huki.

W magazynku rudowłosego kończą się naboje. Klnie pod nosem i wyciąga nóż.

- Alojzy, co ty wyprawiasz? – krzyczy Tom. Zaciska pięści, a metalowa ręka skrzypi pod naciskiem. – Po czyjej jesteś stronie? Czy nie walczyliśmy o wspólne dobro? Razem?!

Alojzy stoi, gotowy ruszyć do ataku, lecz waha się. Ręka, w której trzyma ostrze, drży. Tata szarpie mnie za ramię, szepcze, by wykorzystać jego nieuwagę. Mama jest już gotowa do ucieczki. Nie potrafię tego zrobić, nie potrafię ponownie uciec od problemów. Odpycham mężczyznę i wychodzę zza stalagmitowej kryjówki. Staję pomiędzy dwoma, niegdyś przyjaciółmi, teraz – wrogami. Zielone oczy Alojza spowite są delikatną mgłą. Porusza ustami jak ryba próbująca nabrać powietrza.

- Wybacz mi – szepcze, a po policzkach ciekną srebrzyste łzy. – Jeżeli tego nie zrobię, jeżeli nie doprowadzę do ich zwycięstwa, on mnie... nas zabije! – ostatnie słowa wykrzykuje i rzuca się w naszą stronę.

Tom odpycha mnie. Upadam na twardą ziemię czołem. Brunet odpiera cios chłopaka, lecz ostrze ociera się o jego skórę. Głęboko przecina policzek. Już po chwili wokół rany pojawiają się fioletowe bąble. Zaciska metalową pięść. Między knykциями pojawiają się niewielkie igły. Uderza Alojza w brzuch. Gnie się w pół, kopie go w kolano ciężkim butem. Słyszę chrupot. Jego noga wykrzywia się pod nienaturalnym kątem. Zwija się z bólu. Podchodzi do niego i kolejnym kopnięciem obraca go na plecy. Zdrową nogę podkula przy piersi, z której powoli wydobywa się gęsta krew. Pochyla się nad nim. Ich twarze dzielą milimetry.

- Kto kazał ci to zrobić?! – krzyczy wprost w jego twarz ze złością. – Kto kazał zabić ci przyjaciół, żeby osiągnąć swój chory cel? Kto?!

Alojzy milczy, a twarz ma jak z kamienia.

Podłoże drży od nagłego wybuchu. Z sufitu sypią się wielkie kamienne odłamki, a w środku mapy zieleje ogromna dziura. W środku niej stoi mężczyzna o białych włosach w otoczeniu kilkusobowej eskorty. Na twarzach mają maski przeciwgazowe, a w rękach broń. Wszystkie strzały milkną w jednej chwili, nikt nie drgnie. Złote oczy przybysza skrzą się z zadowoleniem. Rusza ku nam z uśmiechem.

- Brać się do roboty! Nie stójcie jak osły! – krzyczą jego ochroniarze. – Macie skończyć tę maszynę.

Ludzie, którzy pozostali, ruszają do pracy w zastraszającym tempie. Wszyscy omijają przybyłych mężczyzn szerokim łukiem. Biorą spawarki, nakładają wielki materiał, dokręcają śruby. Błyszczą reflektory głównej kabiny, praca wre.

- *Guten Tag*, moje dzieci! – słyszę nagle jego melodyjny głos. Jest w połowie drogi. Idzie po pogorzelisku niezrażony, deptając trupy.

Dopiero teraz rozpoznaję Gwardzistę, Anzelma Grous'a. Jego białe włosy są ulizane do tyłu i spięte w kucyka, przykrywa je równie biała czapka ze srebrnym orłem. W krótkim mundurze zdobionym medalami, srebrnymi łańcuszkami i agresywnie czerwoną przepaską na lewym ramieniu, wygląda na potężniejszego. Wzdrygam się gdy podnosi prawą rękę w charakterystycznym geście; pionowo, na wysokości oczu.

– Heil Hitler! – Czarna jak smoła swastyka odbija się w szklanych oczach Alojza niczym szyderczy uśmiech Anzelma. - Stęskniłeś się, *mein Freund*? – zwraca się w jego kierunku.

- *Ja, Herr Grous* – odpowiada złękniony.

Tom odsuwa się aż pod skałę, przy której siedzę. Drży ze strachu. Gwardzista przekręca z zaciekawieniem głowę w bok. Jego puste oczy przeszywają nas na wylot. Zbliża się

do nas, skórzane buty skrzypią przy każdym kroku. Pochyla się w moją stronę i przykłada dłoń do mojego zranionego czoła. Delikatny ból przeszywa mnie na wskroś. Ściera z niego szkarłatną krew. Nie mogę przestać patrzeć się na jego złote oczy. Wpadam w osłupienie jak zahipnotyzowana. W mojej głowie echem odbijają się słowa żołnierzy, błyszczą drobne, niewyraźne światła, spomiędzy których tylko jego twarz widzę wyraźnie. Uśmiecha się szyderczo. Z ruchu warg wyczytuję „*Du neigst*<sup>10</sup>”. Wykonuję ten rozkaz, mimo że nie chcę. Nie potrafię oprzeć się jego mocy. Ręką brudną od krwi gładzi mój kark. Jego dłonie są gładkie, niezniszczone ciężką pracą. Ogarnia mnie nagły strach. Naciska coraz mocniej, jakby chciał wyczuć coś, co jest pod skórą.

- Kim ty jesteś? – syczę przez zaciśnięte zęby, gdy jego paznokcie przebijają moją skórę.

- *Ihre Erlösung!*<sup>11</sup> – Odrzuca moją głowę w tył ze złością. – *Diese Teufel!*<sup>12</sup> omamił was, moje dzieci. On chce waszej zagłady – wykrzykuje, unosząc się coraz bardziej. – To my, Niemcy, jesteśmy dobrzy! Nie pozwolimy by inne narody pojęły jaką technologię mają pod nosem.

Kręci się w kółko, oddychając ciężko. Wymachuje dłońmi, pokazuje na ludzi. Śmieje się. Jego gorliwość w dążeniu do celu przeraża mnie. Spoglądam na wyczerpanego Toma. Po policzkach płyną mu łzy, a fioletowe bąble rozrastają się powoli.

- To wszystko moja wina – szepcze, zalewając się łzami. – Nie spostrzegłem w porę, co się dzieje. Nie wykonałem mojej misji. Nie zasłużyłem na miano, khy khy, Łowcy.

Zanosząc się kaszlem, spod płaszcza wyciąga małą broszkę i podaje mi ją. Czarne skrzydła wystają ponad szkarłat trybiku, kusząc naciśnięciem. Dotykam jego chropowatej powierzchni. Brunet stanowczo zatrzymuje moją dłoń.

- Uważaj na nią, to ładunek zapalający. Każdy Łowca ma go przy sobie na taką, khy khy, ewentualność jak ta. Naszą misją jest chronić miasta i zginąć walcząc. – Przykłada metalową dłoń do bąbli, które pękają. Zielonkawa maź spływa mu na ubranie, wypalając je. – To silna trucizna, na którą, khy khy, nie ma lekarstwa. Czarny Mściciel nie przyda mi się już, weź go, khy khy.

Kaszal odbiera mu dech. Porusza się niespokojnie, a maź obejmuje jego klatkę piersiową, tworząc kolejne bąble i oparzenia. Dwa ostatnie płytkie wdechy kończą jego agonie. Zamiera. Silna dłoń chłopaka zastyga na mojej, a oczy patrzą w nieznaną dal. Mam ochotę

---

<sup>10</sup> Pokłoń się (de.)

<sup>11</sup> Waszym zbawieniem! (de.)

<sup>12</sup> Ten diabeł (de.)



krzyknąć, by został ze mną i pomógł mi, lecz wiem, że to nic nie da. On odszedł. Czuję się zagubiona. Jedyne osoba, która mogła mi pomóc, odeszła. Zgubiłam rodziców. Zgubiłam brata. Mojego małego braciszka...

Nad uchem słyszę szczęśliwe brzęczenie głosu Anzelma. Śmieje się i biega w koło. Alojzy leży na ziemi i patrzy na mnie pełen cierpienia, jakby chcąc powiedzieć „to on mnie do tego zmusił”.

- Tak wielki potencjał tego miejsca nie może się zmarnować – krzyczy uradowany Gwardzista. – Przynieście mi ich! Czas uruchomić tę maszynę!

Zza machin wynurza się pośpiesznie grupa mężczyzn w czarnych mundurach i czerwoną przepaską na lewym ramieniu. Ciągają zmęczonych ludzi o szarych, przygaszonych twarzach. Wśród nich dostrzegam Króla podtrzymywanego na noszach i moją rodzinę. Serce zaczyna bić mi szybciej, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Podrywam się, chcąc biec do nich, lecz Alojzy łapie mnie za nogę. Zielonymi oczami spogląda na mnie błagalnie.

- Zginiesz – szepcze. – Zostań i patrz. Pomogę ci, tylko zostań tu na chwilę.

Posłusznie kiwam głową i przylegam do podłoża, mimo myśli kołających mi się po głowie. Chcę ich uratować. On na pewno nie planuje nic dobrego.

Inna grupa ludzi ustawia dziewięć krzeseł. Największe, przypominające tron, i najliczniej splecione kablami leżało wśród kręgu sześciu i dwóch stojących na wprost mapy, z przodu i tyłu okręgu. Zręcznie omijając płataniny urzędów, Anzelm prowadzi więźniów na siedziska. Śledzę wzrokiem mojego brata, który zajmuje środkowe miejsce. Jego oczy są puste tak samo jak pozostałych. Wszyscy niczym żywe trupy, posłusznie wykonują podane im rozkazy. Alojzy przygląda się im uważnie, jego oczy mieniają się od łez.

- Widzisz te błyszczące blizny? – wskazuje w kierunku więźniów.

- Jakie światła? – dziwię się. – Nic nie widzę.

Rudowłosa nabiera głębszego wdechu i wypuszcza głośno powietrze. Pochyla głowę ze zdenerwowania.

- No tam prz...! – urywa nagle swój krzyk, a na jego twarz wstępuję błogość i zrozumienie. – Wybacz, zapomniałem o tym, że nie jesteś jedną z nas.

Sięga ręką do koszuli i wyciąga z niej niewielkie, zielone okulary. Szkiełka są popękane, zapewne od walki, mimo to podaje mi je. Gdy je zakładam, uderza mnie fala barw i kształtów. Powietrze migotało bez harmonii, ziemia odbijała się niczym w kalejdoskopie odcieniami czerwieni i żółta. Między żołnierzami unosiły się czarne kosmate stworzenia.

Wszystko przypomniało szumiący telewizor ustawiony na nieznanym kanale, lecz z większą ilością barw. Szybko zdejmuję je, zamroczona tym obrazem.

- Wy... macie tak ciągle? – pytam z niedowierzaniem.

W odpowiedzi tylko prychnęła i naciąga mi szkła spowrotem na oczy. Wskazuje ludzi na krzesłach. Każdego z nich otacza inny dym; niebieski, zielony, czerwony lub żółty. Tylko Król usadzony najdalej od mapy i mój brat mają inne, złote i wręcz tęczkowe, ale i słabsze. Trochę jakby przygaszone. Pod nimi roztacza się szkarłatna rycina w kształcie wielkiego drzewa. Zniekształcony przez falujące powietrze Anzelm podchodzi do ostatniego wolnego miejsca. Mam wrażenie, że z jego głowy wyrasta para czarnych rogów, a z pleców wielkie, skórzane skrzydła.

- Bogini Hel, Panno Helheimu, pokornie proszę cię o przybycie! – mówi, kłaniają się w pół. - Dopomóż nam w tej walce i uwolnij Baldwina od jego strasznej, cielesnej powłoki.

Powietrze wokół mężczyzny faluje srebrzystą czernią. Gęstnieje przed niewzruszonym Gwardzistą, aż swym kształtem zaczyna przypominać młodą kobietę. Czerń, gęsta i lepka, pęka jak skorupa. Równie ciemne włosy opadają na gnijącą skórę, która odsłania szare kości okryte fioletowym sukniem. Wąskie usta wykrzywiają się w zadziornym uśmiechu, krwiste oczy błędzą po jego obliczu.

- Wzywałeś mnie, *en fattig mann*<sup>13</sup> - jej głos przypominał tłuczenie się szkła. Wężowy język przy każdym słowie wychylał się zza ostrych kłów. Koścista dłoń unosi się w jego kierunku. - Co jesteś w stanie ofiarować za moją pomoc?

Anzelm udał zamyślenie, by po chwili w wielkim triumfalnym uniesieniu wskazać ludzi spiętych łańcuchami pod ścianą. Bogini Hel zbliżyła się do nich w demonicznie szybkim tempie. Złapała najbliższego z mężczyznę za szyję i trzymała, aż nie uleciało z niego życie - biała chmura w kształcie ptaka. Kobieta skrzywiła się obrzydliwie.

- Oby reszta była w lepszym stanie – prychnęła, na co białowłosa uśmiechnęła się po błaznliwie.

Kobieta zasiadła na krześle. Żołnierze skuli ją z podłokietnikami tak, jak resztę. Nie protestowała, gdy wbili w jej kościste ciało igły. Mojemu bratu zakładają hełm z diodami i wbijają tysiące igieł. Nie krzyczy, nie płacze. Wygląda, jakby nie oddychał.

Wszystko idzie w jak najlepszym porządku, białowłosa uśmiecha się szaleńczo. Zza płaszcza munduru wyciąga księgę oprawioną w czarną skórę. Na jej okładce widnieją proste symbole i zapadki z brązu. Odblokowuje dwie z nich łączące zbite, ciemnobrązowe strony

---

<sup>13</sup> marny człowieku (nor.)

zapisane czarnym atramentem i pochłapane czerwienią. Zaczyna mruczeć coś po nosem, a jego spięte włosy uniosły się ku górze w podmuchu wiatru, który wiruje coraz szybciej. Aury nad ludźmi mieszają się, by w jednym wielkim wybuchu zgasnąć.

Podłoga drży od wstrząsów niczym moje niespokojne serce.

Z sufitu lecą kawałki kamieni, roztrzaskując się niczym moje niespokojne serce.

Światła mrugają spontanicznie niczym moje niespokojne serce.

Wszystko zamiera nagle niczym moje niespokojne serce.

Wokół panują ciemności i nawet kalejdoskopowe, chaotyczne barwy nie mogą przebić się przez nią. Macam podłóżę tak długo, aż nie napotkam czyjejs dłoni. Jest zimna. Ciągnę ją ku sobie, szarpnię. Próbuję obudzić tego człowieka z letargu, jednak jest już martwy. Człgam się dalej w mroczną głębię. Im bliżej jestem prawdopodobnego środka, tym większym ciepłem napelnia się moje ciało. Podłóżę jest zimne i miękkie. Ciała żołnierzy i robotników wyścielają prawie całe podłóżę.

Dostrzegam małe zielono-niebieskie światełka. Poruszają się rytmicznie w moim kierunku blisko siebie. Zwiększają się i zniżają, by być bliżej mnie. Są hipnotyzujące, tak piękne i znajome.

- Chodź ze mną, sis<sup>14</sup> - mówi łagodny, chłopięcy głos.

W blasku dwukolorowych tęczęk widzę wyciągniętą drobną dłoń ozdobioną prostymi znakami.

Pewnym ruchem chwytam ją. Masze ciała unoszą się, aż otacza nas biel.

---

<sup>14</sup> Siostrzyczko (nor.)